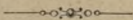


F. 7535



LEON ULRICH.

(Wspomnienie pośmiertne).



Komuż na widok samotnie spieszącego na cmentarz pogrzebu, nie przychodzi myśl serdeczna oddania ostatniej posługi zapomnianemu i osieroconemu, który snadź za życia nie zaznał miłości, skoro i po śmierci łez po nim nie stało? Coś z tego uczucia wiedzie nas za trumną Leona Ulricha. Byron w pamiętnej strofie Childa Harolda, sławiącej ruch ustawiczny bezmiernego Oceanu, na którym człowiek daremnie próbuje ślad swój ustalić, kończy ją obrazem tonącego w morskiej otchłani, niby deszczu kropla, aby w nurtach, bez trumny, dzwonu, grobu, zapomnianym zginąć.

Without a grave, unknell'd, uncoffin'd and unknown.

Fala niepamięci taksamo pochłania znikające zpośród żyjących postacie. Imię świeżo zgasłego pluśnie odgłosem doniesień dziennikarskich, powierzchwnia się zarówna, i potok czasu płynie dalej niewstrzymany, unosząc w swych gorzkich wodach rychło zapomniane nazwiska, łzy i zasługi. Tułacz od przeszło pół wieku, i Leon Ulrich nie doczekał się grobu w ziemi ojczyznej, nie powiały nad nim swojskich dzwonów dźwięki, smutne jego przeznaczenia w życiu i śmierci spełniały wyrocznię poety, poprzedzającą *Ostatniego*, o tych nieszczęśliwych, którym pisano, że

do godów życia nigdy nie zasięda
I nawet może zapomniani będą.

Świeżo zmarły Ulrich nigdy pono do godów życia nie zasiadł, a teraz i pomrok zapomnienia spieszenie na jego daleką schodzi mogiłę. Czy sobie na to zasłużył? Wszakże długoletni wygnaniec niósł co mógł najlepszego plonu do spiżarni i skarbcza narodowej umysłowości. Przekładem całego Szekspira, Plutarcha, Arystofanesa, dobrze się zasłużył Ojczyźnie, dotąd raczej ubogiej w węzły tego rodzaju z powszechną literaturą. Atoli od tak dawna wygnaniec wiódł życie, od lat tylu z nikim prawie w kraju nie zachował stosunku, iż zaiste trudno przyszłoby jakimkolwiek szerszem uczcić go wspomnieniem, gdyby nie korespondencya z jedynym, najlepszym przyjacielem, za którym w tak krótkim odstępie miał pospieszyć.

Pilnie chwytającemu tętna bliskiej a już minionej przeszłości, uwydatnia się stale, iż wśród wielu znikniętych lub znikających ideałów, znajduje się obecnie i przyjaźń. Piękne to i podniosłe uczucie, któremu starożytność tyle poświęciła typów wspaniałych, najbujniejszym wyrastało kwiatem w dwóch pokoleniach, które nas poprzedziły. Chłód dzisiejszy, zasklepienie w sobie, brak powszechny serdeczniejszych węzłów, tem jawniej występuje na tle wspomnień niedawno znikniętych ludzi, którzy żyli przyjaźnią i dla przyjaźni. Z pomiędzy wielu pięknych przykładów utrwalonego tem szlachetnem uczuciem związku, przywieść można w pierwszym rzędzie tkliwą, stałą, uczynną przyjaźń Koźmianów z Leonem Ulrichem. Pomnikiem owego stosunku została korespondencya tego ostatniego z śp. Stanisławem Koźmianem, prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Z tego też jedynie czerpiąc źródła, uda nam się może własnymi słowy odtworzyć wizerunek Ulricha, a raczej „powieść smucącą“ tego biednego życia, troskami i tęsknotą i niedostatkiem zatrute-go. Ileż się u nas w ten sposób marnuje zdolności, zużywa sił i talentów! W odpowiedniejszych warunkach bytu, szlachetna w gruncie natura, serce gorące, talent znakomity, wszystko to byłoby się pomyślnie rozwijało i wydawało swój owoc. Tu nam przyjdzie tylko śledzić rosnące zwątpienie, rozczarowanie, przeplatane cynicznym żartem lub uśmiechem, coś z rodzaju trafnie przez Niemców ochrzczonego *Galgenhumor*. O ile z listów przesądzać można, Ulrich miał w so-

bie pierwiastek niestały, cygański, w francuskim znaczeniu i pojęciu *de la bohème littéraire et artistique*. Wzdrygał się przed zamknięciem życia w ustalone karby i ramy, lękał długotrwałych zobowiązań, i wolał się zamezczać bakalarstwem, aniżeli niepodległość osobistą poświęcić. Ale to wszystko lepiej nam ustępy z jego listów wyjaśnia.

Z notatki pisanej ręką X. Jana Koźmiana, a przysposobiony zapewne do biografii tłumacza Szekspira, mającej posłużyć kiedyś za wstęp do ogólnego jego przekładów wydania, dowiadujemy się, że Leon Ulrich urodził się w roku 1811 w Urzędowie, w Lubelskiem, gdzie ojciec jego był pocztmistrzem. Najprzód przez cztery lata kształcił się u Pijarów w Opolu, później wraz z bratem Franciszkiem przeszedł do szkół lubelskich, gdzie też się zawiązała jego znajomość z braćmi Koźmianami. Znajomość ta zamieniła się w przyjaźń, gdy się lubelscy koledzy odnaleźli w Warszawie, jako słuchacze prawa i administracyi. Razem jęli służyć Muzom, i już w przedrewolucyjnych latach Ulrich poezye swe drukował w *Pamiętniku płci pięknej*, pisywał recenzye i brał żywy udział w ówczesnym ruchu literackim. Gdy zaś wybuchło Listopadowe powstanie, zaciągnął się do gwardyi honorowej, a następnie do piątej lekko-pieszrej bateryi, służąc z kolei pod dowództwem generałów Sierakowskiego i Ramoriny. Franciszek Ulrich pod Międzyrzeczem rękę stracił i został w szpitalu, Leon przeszedł do Galicyi, a następnie z całą falą emigracyjną ruszył ku Francyi. Stał tam w lutym 1832 r. i tułając się z miejsca w miejsce, biedę swą i smutki przenosił z Avignon do Le Puy, z Agen do Bordeaux, stosunkowo najdłużej mieszkając w małej mieścinie Girondy, nad wybrzeżami Garonny, zwanej Langon. Nie wiodło mu się nigdzie; już z Agen pisał do Stanisława Koźmiana w r. 1833: „Jesteś w Londynie i literackimi zajmujesz się pracami; brat twój zamierza poświęcić się prawu; wszyscy moi znajomi postąpili na drodze, po której niegdyś szliśmy razem; ja tylko jeden, ciągle w małych zamkniętych miasteczkach, bez książek i bez przyjaciół, nietylko że nie postąpiłem, ale o wielu rzeczach mimowolnie zapomniałem. Zła jakaś gwiazda świeciła nademną. Gdziekolwiek udać się

chciałem, zawsze od ministra odmowną odbierałem odpowiedź.“

Następnego roku znów z Agen się do przyjaciela odzywa: „Kochany Stanisławie! Zaczynam od miłych wspomnień, zbyt prędko o przykrej terażniejszości mówić mi wypadnie... Dziękuję ci za twoją dobrą o mnie opinią. Zapewne własna myśl najlepszą jest młodego człowieka nauczycielką, ale i myśli trzeba podpory i skazówki. Jeśli uczyniłem jaki postęp, to w praktycznym, politycznym życiu. Czas długi przepędziłem wśród „tysiąca apostołów wolności,“ ocierałem się między nimi, nauczyłem jak apostoł, wojowałem jak paladyn, i nieraz udało mi się zrobić, co zamierzałem. A serce ludzkie wszędzie jednakowe. Sądzę, że na przyszłość, jeśli się zdarzy potrzeba, nie będę miał między ludźmi tak głupiej miny, jaką mieliśmy wszyscy w Warszawie po 29 listopada. Zresztą wierzaj mi, położenie moje gorsze jeszcze od położenia przyjaciół „dobrego starego czasu,“ *nic się nie nauczyłem, a zapomniałem wiele*. Po francusku piszę niezgorzej, czasami palę polityczne artykuły do naszego prowincjonalnego dziennika; nie możesz wątpić, że za pomocą tak znanego świata literackiemu pisma, jak „*Journal politique et littéraire de Lot et Garonne*,“ imię moje przebyło już słupy Herkulesowe i *ultimam Thule*. — I ty się żalisz na mały twój postęp, bo „zimnej, martwej nauki na nic nie rachujesz.“ Pragniesz działać, a droga działania, twojem zdaniem, dla wszystkich nas zamknięta. Darujesz mi, jeśli przeciwnego będę zdania. Młodemu człowiekowi, pragnącemu sił swoich próbować, dosyć na szczupłym, nieznanym polu. Cóż ztąd, że świat nie będzie o tobie wiedział, jeśli dogodzisz potrzebie twego serca, poznasz własną wartość i drobnego nabędziesz doświadczenia? Rozumiesz mnie zapewne, że mówię o Emigracyi. Jestto pole nieuprawne, zarosłe cierniami i chwastem, a nikt go nie chce karczować; zdaje się przecież, że kilka tysięcy młodych ludzi zasługuje na uwagę. Nie przeczę, że to niewdzięczna i niebezpieczna praca, ale któż zbierał owoce bez pracy. I mnie już kością w gardle stoi emigracyjna polityka; ale coź robić? tu się uczyć poznawać ludzi, a nie żal tę naukę opłacać ofiarą własnej spokojności. Saint-Just powiedział, że ci, którzy chcą co dobre-

go zrobić, w grobie tylko spać powinni... Mylisz się, jeśli mnie masz za zapalonego demagoga. Być może, iż występując na widok, w zapale dyskusyi, znana ci dobrze moja Eierpkość, podała mi czasem przyostre wyrażenie, które moi przyjaciele, a mam ich niemało, nietolerancyą nazwali. Szanuję każde zdanie, byłem w niem widział ślad dobrej wiary..." W dalszym ciągu długiego listu błyska pierwszy zaród myśli, która niebawem wzrosnąć miała w Szekspirowską obu przyjaciół spółkę. „Rozumiem niezgorzej po angielsku, czytam Szekspira i kilka razy brała mnie pokusa przetłómaczenia kilku jego sztuk na polski język.“ Koniec listu najsmutniejszy: „W głowę zachodzę, jak wy możecie tak szczęśliwie wędrować po świecie. Ja z bojaźnią we Francyi zmieniam miejsce pobytu, bo mi się zawsze zdaje, że na końcu umrę z głodu. Ale zrezygnowałem się przecie, wyjeżdżam do Bordeaux, gdzie zamierzam umieścić się lub w handlu, lub co innego stanowczo przedsięwziąć; bo i ja nakoniec zacznę myśleć o jutrze.“

Tymczasem parę następnych lat schodzi mu jako-tako w Langon, we względnym tylko niedostatku, co wciąż zdala pobudza czynną troskliwość londyńskich przyjaciół, a zwłaszcza Koźmiana. Zaprasza on do siebie Ulricha, który zwleka, bądź że nie ma pieniędzy na drogę, bądź że się lęka nowego wyczekiwania możliwego w Anglii zarobku. Przytem wrósł w okolice południowej Francyi, porobił tam już znajomości. Na ten czas pono przypadają jego stosunki z prowensalskim poetą Jasmin, którego utwory ojczystej przyswajał mowie. Nie zasypiająca opieka przyjaciela, wynajduje wreszcie dla Ulricha stósowną w Anglii posadę. Niejaki p. Hill, brat słynnego reformatora poczt angielskich, a ztąd i całego świata, Sir Rowland'a Hill, założył był w Bruce-Castle, w Tottenham pod Londynem kolegium chłopców, gdzie potrzeba było repetytorów, dozorców i nauczycieli. Zaproponowano więc Ulrichowi to stanowisko. Zrazu się oburzył, przeczuwając utratę niepodległości czasu. „Lepiej zostać tragarzem w porcie, przynajmniej mógłbym wieczór po mojej myśli przepędzić... Wiem, że Langon niema dla mnie przyszłości, że nawet obecność nie jest zachwycająca, ale przynajmniej ubóstwo moje pocieszyć mogą wolnością, czytaniem, nawet

poezya, z której moim przyjaciółom i nieprzyjaciółom szydzić wolno, ale która dla mnie jest równie dobrą pociesycielką, jak dla wielkiego jakiego poety jego geniusz i chwala.“ Przestrach jego się wzmacnia, gdy p. Hill wspomina o szesnastu godzinach mozołu z dziećmi, od 6tej rano do 10tej wieczór, czego „nawet od negrów w koloniach nie wymaga.“ Ale czegoż bieda nie zdolna? Po krótkich targach, więcej niemal o czas niż o pieniądze, przechodzi układ z Hillem, i rok 1838 zastaje już Ulricha w charakterze *tutor'a* w Bruce-Castle. Odrazu jednak widać, iż niedługo tam popasać w swej tułaczey wędrowce zamierza, a serce się ściska, doczytując się w jego listach wstrętu do bakalarzowania, gdy się pomyśli, że odtąd przez kilkadziesiąt lat będzie to dla niego niemal wyłącznym środkiem zarobku. Jedyną pociechą i wytchnieniem wakacye, lub niedzielne do Londynu wycieczki, aby z Koźmianem uspioną orzeźwić muzę, odświeżyć się w gronie przyjaciół i zabawić z nimi. Atoli ci najbliżsi rychło odkryli raka, toczącego wewnątrznie napozór wesołego towarzysza. Przynajmniej tak nam się tłómaczy urywek z listu Ulricha, pisany w sierpniu 1838 r. z Bruce-Castle: „Kochany Staniaławie! na propozycye trochę za dyplomatycznie czynione, odpowiadam otwartością. Położenie mojej familii znasz mniej-więcej. Rodzice moi zajmowali się mną i moim bratem może zawiele, a niezawodnie zamało siostrami. Okoliczność ta wkładała na nas święty obowiązek ezuwania nad ich przyszłością. Zła nasza gwiazda zrujnowała wszystkie nasze nadzieje. Obecnej pozycyi mojego brata nie znam, ale o ile domyślać się mogę, nie musi być świetną; o sobie nie potrzebuję mówić. Tak więc nieszczęśliwy zbieg okoliczności, wydarł siostróm moim przyjaciół, na których miały prawo liczyć, wystawił je bez opieki na igrzysko losu, którego uśmiechów dom mój nie zna prawie. Nie mogąc nic im ofiarować, prócz bezsilnych życzeń, przyjmuję z wdzięcznością ofiarowaną mi przez ciebie opiekę dla nich w twojej familii; bo jeśli *zależność* ma być ich gorzkim przeznaczeniem, wołałbym je widzieć w domu waszym, niż gdziekolwiek bądź indziej. Lepiej myśl twoją zrozumiawszy, i ja będę mógł jaśniej się wytłómaczyć. Nie śmieję się z sentymentalności mojego biletu; na każda myśl o matce i sio-

strach, mimowolnie lży mi się w oczach kręca. Gdybym raz mógł przestać lękać się o ich przyszłość, uwolniłbym się od najboleśniejszego uczucia. Dla mnie świat stoi otworem — wytrwałość i dobra wola, wyprowadzą mnie zawsze z kłopotu, lecz one... Nie sędzę, abyś miał przyczynę na *wrażliwość* się moją skarżyć. Jeśli obrażam się tam, gdzie mnie mam dostrzegać chęć ukłucia mnie, potrafię ocenić delikatność i bez wahania się przyjąć ofiarę tam, gdzie nie widzę nic, prócz prawdziwej przyjacielskości “

Zerwanie raz w tej drażliwej materji lody, odtąd nawiązały jedno ogniwo więcej w ścisłym stosunku Ulricha do obu Koźmianów. Wiedział już teraz, gdzie szukać pomocy w tej najboleśniejszej serca jego ranie. I otóż po długim milczeniu, dochodzą go coraz smutniejsze od swoich wieści: matce odjęto ubogą posadę, siostra na suchoty umiera, usilna praca pozostałego o jednej ręce w kraju brata, nie starczy na opędzenie tylu potrzeb. Wygnaniec szuka sposobu przesłania szybkiego ratunku: „Jakkolwiek położenie moje nie, cudowne, łatwo mogę część sobie ująć. Czy mógłbyć tak ułożyć interesa, kochany Stanisławie, aby matka twoja natychmiast wypłaciła mojej tysiąc złotych, które jabym wam tutaj zwrócił; ale trudność w tem, że ja ani zaraz, ani odrazu całej sumy spłacić nie mogę. Jeśli sądzisz, że to ani we Wronowie, ani w Londynie wielkiej trudności nie zrobi, obowiązałbyś mnie, nie potrzebuję mówić, jak mocno... Tysiąc złp. jest podobno 25 liwrów; znasz moje położenie i wiesz, że tej sumy nie będę mógł spłacić prędzej, jak za miesięcy ośm, dziesięć, rozpatrz się, czy wasze finanse na zwłokę tę pozwolą.“ Odtąd nieraz powtarzają się podobne przyjacielskie usługi, a zarazem i stale w listach Ulricha pobrzmiwa troska, aby się stopniowo wypłacać. Gdy raz jeden z Koźmianów zmuszonym się widzi żądać zwrotu pożyczonych pieniędzy, nie będący chwilowo w możności oddania Ulrich martwi się i gryzie, i szuka sposobu załatwienia sprawy: „Może nieraz jeszcze podobnej żądałbym od was usługi, a nie miałbym serca, gdybym za pierwszą razą widział was w przykrem położeniu przez moje ubóstwo.“ Zresztą kasa emigrancka bywała nieraz wspólną, a choć zwykle Koźmianowie radzili o Ulrichu, zdarzało się, że i Ulrich wspólne

zażegnywał biedy. Pisze bowiem na jednym miejscu: „Jeśli krucho koło ciebie, mamy zegarek i dwa łańcuszki, będzie można dostać 9 do 10 funtów na zastaw, póki twoje galiony lub moja pensya bakałarska nie nadejdzie.“

Tkliwy nastrój ostatnich listów, dziwnie odbija na tle całej korespondencyi, unikającej jakby z umysłu serdeczniejszych wynurzeń. Ale bo też sprzeczności w niej niebrak, jak nie musiało brakować w człowieku. Epikurejczyk z niego wyraźny, a przytem widnieje ciągła, mozolna praca dla czei i chleba, snują się cytaty naprzemian z Ewangelii i Saint Justa, żarty z tych, którzy tylko w to wierzą i to czynią, „co Kościół matka i Czartoryski ojciec nakazuje;“ dalej zdradza się oburzenie na mętne elukubraceye czerwonych żywiołów emigracyi, do których czytania nie zabiera się inaczey, jak w rękawieczkach, aby się nie zbrudzić. Nie podobno lepiej nie okaże tych wszystkich anomalij, w nie jednolitym snadź charakterze, jak list pisany z niezmierną zgrozą i boleścią po galicyjskich z r. 1846 wypadkach. Niebrak tam przykrych wycieczek przeciw Stolicy Świętej, niebrak i śladów demagogicznego usposobienia. Ale przytem umysł jasny i głęboki, jasno sobie też zdaje sprawę ze stanu rzeczy; po niezmiernie zbolałym początku długiego listu pisze: „Mnie się zdaje, że na długie lata, bez zmiany stosunków europejskich, niewolno nam marzyć o powstaniu. Spuszczać się zupełnie na drugich, byłoby więcej jak głupotą. Należy nam czekać, i o ile możności naprawiać, co szaleństwo popsulo. Jaką naprawiać drogą? próżno szukać innych środków; jeden tylko zostaje — religia. Znasz moje wyobrażenia religijne, komedyi nie grałem i grać nie chcę. Ale jakże przekonać chłopów polskich, że szlachta myśli tylko o ich szczęściu, o radykalnej poprawie ich bytu. Rozrzucac między nich demokratyczne pisma, uczyć ich polityki, na nie się nie przyda. Długie jeszcze lata podobnej bazgraniny i gadaniny, martwą dla nich będzie litera. Jeden tylko proboszcz wiejski, długą, mozolną pracą, czystem poświęceniem, wytrwałością i cierpliwością, może lepszą przygotować przyszłość. Mnie się zdaje, że cała działalność emigracyi do tego jedynie zmierzać powinna, aby polskiemu duchowieństwu jeden nadać kierunek. Otrzymać zapomnienie, przebaczenie krzywd okropnych —

nie dziś — bo to nad ludzką możność, ale jutro, ale za lat pięć lub dziesięć, po naszej śmierci, — bo dla nas — z rozpaczą mówię, ale prawie z pewnością — dla nas już niema żadnej nadziei. Plebani dziś naszą kotwicą zbawienia, której się trzymać nagwałt wszystkiemi trzeba siłami. Z zadziwieniem widzę, że w tak bolesnych wypadkach, jeden tylko Czartoryski prawdziwie wielkie, obywatelskie zrobił wystąpienie. Wszyscy inni milezeli, lub o swojej nikezemnej myśleli jednostce... Jabym sądził, że należałoby wygotować rodzaj okólnika że nateraz wszelkie konspiracye, mające na celu wybuch rewolucyjny, byłyby raczej zbrodnią przeciw Polsce, jak dowodem cnoty obywatelskiej; że misją emigracyi jest teraz działać na umysły szlachty, przez pisma zimne, rozważne, aby ją przekonać o potrzebie zapomnienia i przebaczenia, a na umysły chłopów pośrednio przez duchowieństwo, aby ich przekonać, że nie szlachta polska, ale rządy zaborcze są ich nieszczęść przyczyną.“—Wyprzedziliśmy bieg lat, aby przykładem stwierdzić rozliczne w tej duszy starganej sprzeczności. Szlachetność przyrodzona i rozum niezwykle wskazywały mu wyższe tory; sofizmata i nawyknięcia umysłu sprowadzały na manowce, zwłaszcza religijne; tej bowiem dźwigni, o ile z listów sądzić można, nie posiadał wygnaniec, i strona ta gdy pod piórem jego pobrzmiwa, zawsze pewną goryczą nasiąknięta, jakby niesmakiem niezaspokoionej duszy.

Tymczasem niedzielne przyjaciół w Londynia spotkania przysparzały im chęci prześcigania się wzajemnie w rymowanej płodności. Co zaś dziwnego, u obu znalazła się przede wszystkim jakaś mania kucia sonetów. Koźmian ma ich już sporą wiązkę, Ulrich z tryumfem donosi, iż wygotował dwadzieścia ośm, a przed niedzielą do trzydziestu dociągnie. Gimnastyka ta językowa, zaprawia przyszłych Szekspira tłumaczów do łamania się z trudnościami rytmu i rymu, do naginania myśli w ulaną z góry formę. Wśród tej lawiny sonetów, znajdowały się i perełki, czego dowodem następny udatny wiersz Ulricha, noszący tytuł:

Do Polki w Anglii.

Schwyciłem słowa polskie w cudzoziemskiej wrzawie,
I harmonijne spadki ojców świętej mowy
Zbudziły śpiący w duszy szmer polskiej dąbrowy,
Gwar polskiego strumienia po kwiatach i trawie.

Słodkie słowa tak długo niesłyszane prawie,
Wlały do zwiędłej duszy, do omdlałej głowy
Świeży balsam pociechy, życia promień nowy,
Jak oaza pielgrzymów w syryjskiej wyprawie.

O błogosław ci Boże! niechaj losu dłonie
Zleją, nam wzięte szczęście na młode twe skronie,
A ty wspomnij choć czasem o braciach w podróży.

Czy wspomnisz? Przyrzeczenie zyskane od ciebie
Będzie świecić na chmurnem przeznaczeń mych niebie,
Tak, jak samotna gwiazda żeglarzom wśród burzy.

Jak było do przewidzenia, wkrótce Ulrich się urwał z niebardzo zresztą złoconego łańcucha, który go w Bruce-Castle więził. Nie tyle uczenie go męczyło, ile ściśle dozоровanie malców. Z nawyknięcia wrócił w znajome już sobie okolice Girondy, i po dawnemu jał się uganiać za lekeyami, biegając, jak sam pisze, po studenckich poddaszach. Aby podolać wymaganiom uczniów, potrzebujących nieraz repetytora przedegzaminowego, odświeżył w sobie zaniechaną nieco grekę, a ślęcząc przez lat kilka nad gramatyką i dykeyonarzami, wykształcił się samodzielnie na pierwszorzędnego hellenistę: „Żyję jak lew,“ — pisze z Bordeaux do przyjaciela, — „zdziaczały, samotny. Na zgromadzenia nie chodzę, mówek nie palę, konstytucyi nie układam, słowem — już ja nie ten, co bywałem wczora! Ślęczę nad grecczyzną, alem jeszcze okropnie głupi, mało płynie do głowy, więcej trochę do kieszeni, i mam nadzieję, że za kilka miesięcy będę się mógł *materialiter* zupełnie z długu mego względem was uiścić.“ W innym liście kreśli obraz swego życia: „Żyję z lekeyj prywat-

nych, mam ich dosyć, zarabiam teraz przeszło 3000 fr. na rok; jak żyję, tyle pieniędzy nie miałem, ale zato wstaję o 7mej i prawie bez przestanku pracuję tam i sam biegając aż do 6tej wieczorem. Znużony, zmęczony, palę cygaro, piję filiżankę kawy lub herbaty, czytając gazety, i albo idę zabić gdzie na kartach parę godzin czasu, lub siedzę w domu i czytam. Ale, jak widzisz, nie mogę czytać wiele.“ W innym liście znów pisze, otrzymawszy wiadomość o zgonie warszawskiego kolegi Dominika Magnuszewskiego: „Biedny Dominik! nie starzyśmy jeszcze, a ileto już przyjaciół uciekło nam z oczu! Wszystko się zmienia, tylko nasze położenie zawsze jednakowe — moje przynajmniej zawsze nudne i biedne. Ani głód, ani zimno mi nie dokuczają, to prawda, ale samotność uczuć i myśli już mi kością w gardle stoi. Nie znam żywej duszy, z którąbym niezmiernie mógł pogadać, z którąbym co innego mógł robić, jak rozgrywać się w domino lub karty: *so möchte auch ein Hund nicht leben.*“ Ta ostatnia skarga powraca kilka razy, — smutne, samotne życie rozwija w piszącym cierpkość i gorycz; dziwi się sam, gdy listy przyjaciół, za serce go chwytając, dowodzą mu, iż nie całkiem umarł dla przeszłości, że zostały w jego pamięci komórki, jeszcze greckim dykeyonarzem nie zajęte. „List twój tak przyjacielski, rozrzewnił mnie prawie. Odosobniony, najnudniejszą zajęty pracą, obcy wszelkiemu moralnemu, a nawet umysłowemu życiu, sądziłem prawdziwie, że już i czuć zapomniałem; dzięki twojemu dobremu sercu, spostrzegłem, że mogę jeszcze wielbić w drugich dobroć i szlachetność.“ Z radością też dzieli każdą pomyślną dla przyjaciół wiadomość, interesuje się początkami *Przeglądu Poznańskiego*, a tymczasem wspólna robota w jedno jarzmo sprzęgać zaczyna Ulricha i Koźmiana. Już opuszczając Anglię, wyniósł zamiar tłómaczenia na polski język Szekspira. Później raz po raz donosi, że o Szekspirze myśli, ale myśli tylko, że czeka ostrogi z Londynu. Z początku obaj przyjaciele nader skromne mają ambicje — spróbować, ażali dorównają przekładowi Hołowińskiego. Niebawem Ulrich spostrzega, iż nie trudno będzie prześcignąć schłostane ironią Słowackiego tłómaczenia, w których literalna wprowadzie zostaje wierność, ale polot myśli znika. „Łudzę się nadzieją, że nasze przekłady będą lepsze,“ pisze do

skromnego Koźmiana, i odtąd tak w Bordeaux, jak w Londynie, raźnie postępuje robota około przyswojenia mowie ojczystej arcydzieł angielskiego dramaturga. Gdy już obustronnie kilka sztuk całkiem wygotowali, zaczynają się pertraktacye o wydanie nakładów; Biernacki ofiarowuje 200 fr. za sztukę, tak nisko ocenioną zrazu została trudna i mezołna praca obu przyjaciół. Ulrich nalega, aby się zgodzić na te skromne warunki. „Nie wiem jakiej wielkości będą tomy; sądzę, że nie powinny obejmować więcej niż cztery sztuki. Ty musisz mieć przynajmniej trzy gotowe, ja mam pięć w potrzebie i sześć na rozkazy edytora. Wierzaj mi, Stanisławie, nie traćmy sposobności przypomnienia polskiej publiczności naszych imion. Jużśmy się podstarzeli, zostawmyż przed śmiercią *monumentum aere perennius.*“

List ten pisany z Bordeaux w 1845. Przez całe ośmioletcie swego tamże pobytu, nie ustaje między Ulrichem a Koźmianem żwawa zamiana uwag, książek, publikacyj szekspirowskich. Z latami 1846 i 1847, znów polityczna agitacya bierze górę nad pokojowemi zajęciami. Wprawdzie Ulrich pisze, iż usiłuje trzymać się na stronie, że czas działania daleki, potępia skrajne emigracyi porywy. Niemniej stoi zawsze na przeciwnych niemal krańcach wywieszonych przez redaktorów *Przeglądu Poznańskiego* haseł. O potrzebie religijnego „cementu“ w życiu społecznem wprawdzie wspomina, ale zastrzega się, że to czyni nie jako wierzący, lecz jako filozof. „Trudno wiarę nakazywać, łaska nie zstąpiła dotąd na mnie. Lecz dlaczegoż nie miałbym wierzącym podać ręki?“

Zawierucha 1848 r. i Ulricha porywa, — spieszy do Krakowa i wraz z Aleksandrem Szukiewiczem zakłada tam niebawem dziennik, różowo zatytułowany *Jutrzenką*, w miarę wschodzących zewsząd złudnych nadziei. Organ ten, który poprzedził *Czas*, pozwoił się wyszumieć zasadom i ludziom, którzy następnie na zdrowsze weszli tory, dał Ulrichowi sposobność do rozwinięcia pierwszorzędných zdolności publicystycznych. Ale snadź nie było mu pisanem utrwalić swą pracę na ojczystym zagonie. Po roku spółpracownictwa w redakcyi, spróbowałszy też sił swoich i w kierunku dramatycznym, napisaniem komedyi p. t. *Chloroform*, która z oklas-

kami została przyjętą na teatrze krakowskim, Ulrich przynosi się w ciągu 1849 r. w Poznańskie, aby czas dłuższy przepędzić w domu hr. Walerego Kwileckiego, a jednocześnie odświeżyć serdeczne z Koźmianami stosunki, wśród okolicy, którą natenczas zamieszkali. Ale daremnie przyjaciele, mnożąc i podsuwając mu zajęcia literackie, usiłowali przywiązać go do Wielkopolski; darmo Kajetan Morawski próbował go do redakcyi *Gazety Polskiej* wcisnąć. Rozgoryczony ostatnimi zawodami wygnaniec, nigdzie spoczynku nie znajdował, nie chciał żadnym krokiem uregulować swej politycznej w Księstwie pozycyi. O ile z listów wnosić można, pewna przyrodzona hardość i cierpkość wieloletniego samotnika, musiały go odzwyczaić od życia z ludźmi. Odwykły od klimatu północy, część swego pobytu w Księstwie przechorował. Zdawałoby się, iż rząd pruski ostatecznie oddalił z granic Księstwa dość ruchliwego i wybitnego emigranta. Tyle pewnego, że już w 1850 r. znów go widzimy w Paryżu, gdzie się zabiera do tłómaczenia Plutarcha. Ale niebawem, przekonawszy się, że w stolicy trudniej jeszcze mu wyżyć przyjdzie, wraca znów do Bordeaux, gdzie dawne utraciwszy stosunki, znów *ab ovo* wyrabiać sobie musi lekeye i dobijać się „belferskiej godności.“ W wolniejszych chwilach do ulubionych wraca tłómaczeń. „Przekład Plutarcha postępuje, ale bardzo powoli: bo trudniejsza jest, jak z początku myślałem. Chcę uczciwego co zrobić i nieraz godzinę nad jednym frazesem głowę sobie łamię. Do Szekspira dopiero w tych dniach się zabieram, bo przed dwoma dopiero dniami odebrałem moje książki i papiery, w których złożone były wszystkie moje skarby.“ W następnym roku donosi, że jego położenie polepszyło się nieco, „tyle przynajmniej, że główne wydatki pokryć może, a z czasem i na cygaro mu starczy, choć nie uwierzycie, dodaje, jak trudno *nam* teraz zwabić przyjaciół i zatrudnienie.“

Listy z czasem stawają się rzadsze. Obu przyjaciół lata swym ciężarem przyciskają, nie stygnie stara przyjaźń, ale zdrowie często wytrąca pióro z ręki. Stopniowo u Ulricha dwie zmory groźnie występują. Rzemiosło bakalarskie tak mu osłabia gardło, że po całodziennych lekeyach wraca do domu prawie bez głosu. Później zaś i oczy zaczynają szwan-

kować. Co będzie z jutrem? czy bieda i głód dostaną się do izdebki, którą od tych gości pracą obwarować usiłuje? Korespondencya przyjaciół toczy się najczęściej o interesach księgarskich, o *Przeglądzie Poznańskim*, w którym Ulrich współpracował, mimo różnicy zasadniczych przekonań. Posyłając raz jakiś artykuł, nazywa go dowodem, „iż pragnął szczerze wmięsząć swój kąkol w ich pszenicę.“ Zaostrza się ton listów, ilekroć piszący o religijną zaczepi stronę: nie brak przymówek do „waszego przyjaciela Veuillota“ i nieraz mniej smacznych wycieczek. Wierna przyjaźń wszystko cierpliwie znosi, przebacza, wyrozumieć gotowa. Koźmian raz po raz ponawia usiłowania, aby przyjaciela do kraju sprowadzić. Zapóźno! Wrósł już w ziemię francuską, w stosunki ubezpieczające mu niezależność. „Trudno sobie wymyśleć coś jednostajniejszego, nad moje życie. Wszystkie znamiona szczęśliwego i spokojnego życia, prócz szczęścia i pokoju,“ pisze jeszcze w 1856 r. „Zdrowie prędzej później zmusi mnie do szukania chleba po nowych drogach. Przypominasz sobie zapewne, jakie przebyłem koleje w pierwszych czasach emigracyi. Czego nie próbowałem! gdzie nie byłem! aż przebiegłszy wszystkie *arti maggiori* i *arti minori*, rozpanoszyłem się w *arte minimo* bakalarza, i myślałem, że się w nim doczekam końca, aż tu widzę, że trzeba myśleć o czem innym, a myśl już sama o tem mnie przestrasza, bo co dla młodego żartem i zabawą było, to starego do szpitala może pogonić. Ale wierny mojej starej filozofii, odkładam na jutro jutrzejsze kłopoty, a dziś póki mogę, kręcę moją korbą i wedle sił smutne myśli odganiam.“

Odkładane mozolnie oszczędności, przepadają przy bankructwie jakiejś fabryki, której kierownik, dobry Ulricha znajomy, i jego drobny kapitał w ruinie swej pochłonął. Mimo dolegliwości wieku, przychodzi zdwoić pracę, spróbować dawne utwory młodości spieniężyć. W korespondencyi przyjaciół często bywa wspomnianą *Ludmiłą*, powieść wierszem przez Ulricha niegdyś napisana. Czyby ją który z księgarzy polskich za *dziesięć talarów* nie przyjął? Ostatecznie układ nie doszedł, może i autor nie bardzo dbał o wydanie swoich juveniliów. Pisze bowiem do Koźmiana: „Szczerze wyznaję, że od lat dwunastu powieści mojej nie czytałem

czytając ją przed rozpoczęciem kopiowania, ze strachem postrzegłem, jak straszne zaszły zmiany w moich przekonaniach i uczuciach!“

I tak płynął rok po roku, żadnej w losach wygnańca nie przynosząc odmiany. Nie też z jego listów nie przytaczamy. W dwóch po sobie następujących latach 1876 i 77 wielka czekała go radość, spotkaniem dawnego z Lublina i Warszawy kolegi, serdecznego przyjaciela, jednego z Koźmianów, ks. Jana, który i w Vichy się z nim zjeżdżał, i do La Bourboule jeździł odwiedzić, i znów orzeźwił ducha, choć do duszy nie zdołał trafić. Ulrich potrzebował ostrogi, zetknięcie z ks. Janem dodało mu bodźca i ochoty do pracy, zwłaszcza, iż stary przyjaciel ze zwykłą gorącą uczynnością otworzył mu widoki drukowania swych przekładów, obiecał pośrednictwo. Pokrzepiony tem spotkaniem, jał i częściej się odzywać do Koźmianów. W owych latach musiał chwilowo zawiesić swe bakałarskie zajęcia, z powodu nadto dotkliwego bólu gardła, utrzymywał się tymczasowo z 10,000 franków, które dostał od Orgelbranda, za tłumaczenie całego Szekspira. Przez trzy lata żył z tej sumy, leczył się po różnych wodach, aby w końcu wyczerpnąwszy chwilowy zasilek, wrócić do bakałarzowania.

Nie zaniechał przeto literackich zajęć, tylko zmienił nieco ich kierunek, w głębszą cofając się starożytność. „Rozmyślając przez lat dwadzieścia w mojej cichej izdebce, pisze we wrześniu 1876, przyszedłem w pokorze ducha do tego przekonania, że zamiast daremnie stukać do drzwi wydawców z oryginalnemi ramotami, które, choćby i ujrzało światło dzienne, niewątpliwie umarłyby przed moim pogrzebem, lepiej zrobię, jeśli chcę zostawić po sobie jaką trwałą pamiątkę, gdy zamiast swojej własnej mizeroty, ofiaruję publiczności obce areydziała przepolszczone. Wierny temu postanowieniu, od niepamiętnych czasów nie napisałem jednego oryginalnego wiersza, ale przez długie lata poświęcałem całe wieczory tłumaczeniu Szekspira, i na dobre mi to wyszło, bo tej jedynie wytrwałości winienem mój chleb dzisiejszy. Zmuszony prócz tego przez lat kilka zajmować się niemal greckimi poetami, najprzód dla własnej przyjemności tłumaczyłem najpiękniejsze sceny z Arystofanesa, a im dłużej się zajmowa-

łem tą pracą, tem silniej rosła we mnie chęć przetłómaczenia większej części sztuk, które choć przed dwoma tysiącami lat pisane, mogą niewątpliwie zainteresować dzisiejszą publiczność, i przekonać ją, że w tym długim przeciągu czasu nie tak się ludzkie rzeczy zmieniły, jakby kto myślał. Za kilka miesięcy wygotuję sztuk cztery, mam już dwie zupełnie gotowe, a z końcem przyszłego roku drugie cztery, bo z pozostałych, jedną przez zbytek *realizmu* niepodobna tłómaczyć, a dwie inne żadnego nie przedstawiają interesu, bo są tylko wyszydzeniem Eurypidesa.“

Ks. Koźmian nie szczędzi zachęty, upewnia, że Arystofanes znajdzie odbyt gotowy, nabywcę chętnego. Natomiast pan Stanisław oblewa zimną wodą żarliwego tłómacza, który się jednak nie zniechęca, ani smutnym obrazem stanu wydawnictwa polskiego, ani uprzedzeniami Koźmiana do greckiego poety: „Myślę, że ogłaszając to, co dziś gotowe,“ pisze Ulrich, „niemałą oddałbym naszej literaturze przysługę, bo pod wielu względami Arystofanes jest równie wielki, jak Szekspir, i zasługuje jak Szekspir na pokazanie się w polskim stroju. Przyczyniwszy się w znacznej części do spolszczenia pierwszego, byłbym prawdziwie dumny, gdybym przed śmiercią mógł obaczyć w druku moje tłómaczenie Arystofanesa. Pamięć jego nie zaginie, nie dla tego, że jest plugawy, ale mimo tego że jest plugawy. Wszystko, co w nim prawdziwe i piękne, to jest wieczne, wedle sił zachować się starałem.“

Ale czy doczeka upragnionej pociechy? Śmierć księdza Koźmiana znów go pozbawia zachęty, bo jak sam pisze 12 Lipca 1879 r. „Zagrzany słowami nieodżałowanego ks. Jana, chwyciłem z gorączkową niecierpliwością za pióro, ukończyłem co było można wytłómaczyć z Arystofanesa, i męczyłem oczy nad greckim textem Plutarcha. Ale wiadoma ci odpowiedź księgarzy, pokropiła mnie zimną wodą, zniechęcony rzuciłem do teki wszystkie szpargaly, i wolę, zamiast pracować dla korzenników i tabakarzy, czytać i odczytywać ulubione mi niegdyś książki. Źle może robię, bo jak ty, jestem przekonany, że w pozytywnym prądzie naszej literatury, dzieło, jak Żywota Plutarcha, byłoby niewątpliwie zbawienną reakcją. Ale któż mi zaręczy, że mozolnie dokonana praca



nie zaginie w Bordeaux? A przytem pojdziesz łatwo, jak samotnemu nad Garonną Polakowi trudno pisać po polsku. Przy lada trudności niema się zgłosić do kogo, niema się kogo poradzić, trzeba więc samemu łamać sobie głowę, a na co? żeby wszystko ugrzęzło po mojej śmierci w sklepiu korzennym mego sąsiada.“

Ufać trzeba, iż owe złowrogie przecucia nie spełniły się, i że przy umierającym samotniku na ulicy Boudet, 33, znalazła się pobożna ręka, aby tę drogą dla polskiej umysłowości spuściznę zachować i odesłać do kraju. Ale czy się znalazła? tensam list kreśli obraz tak zupełnego już osierocenia: „Nie uwierzysz, jak w mojem odosobnieniu zdziechałem; nigdzie nie bywam, nikogo nie widuję, do nikogo nie piszę, wyjąwszy do ciebie. Wszyscy moi przyjaciele i znajomi wymarli. Przed kilku laty miałem jeszcze w Bordeaux szczupłe polskie kółko, w którym zwykle, przynajmniej raz w tydzień, przepędzałem kilka godzin wieczornego spoczynku. Dziś śpią prawie wszyscy na Chartreuse i czekają na moje tam przybycie. Ze starych znajomych został mi tylko w Bordeaux jeden, z którym mało mam pociechy i rozrywki, bo po 40-letniej pracy we francuskim kantorze zapomniał prawie po polsku, a trudno żeby się poduczył na czytaniu *Gazety Narodowej*, którą od starego kolegi ze Lwowa odbiera i na moje zgorzenie regularnie mi przesyła. Czy się też godzi, żeby po 20-letniej swobodzie, tak pisać po polsku! co za nędzota pod względem myśli i formy! i to mają być niby obrońcy wyobrażeń, którym kiedyś hołdowałem i którym dziś jeszcze mniej-więcej hołduję. Jak nieraz, powtarzam modlitwę Retza, aby mnie Pan Bóg bronił od moich przyjaciół! Kiedy czytam wstępne artykuły albo feiletony *Gazety*, od zmysłów odhodzę, patrząc na męczarnie polskiego języka i ludzkiego sensu! Co za różnica myśli i stylu w twoim *Kuryerze*! Nie uwierzysz, z jaką niecierpliwością czekam co rano na kołatanie listonosza. Nieraz protestuje przeciw temu, co czytam, a jednak chętniej czytam z rozumem i talentem pisaną obronę niezgodnych z mojem przekonaniem wyobrażeń, jak dziecinne spekulacye, barbarzyńskim pisane językiem moich domniemanych spółwynawców. Dziękuję ci więc najserdeczniej za przesyłkę *Kuryera*, który mnie regularnie

dochodzi, a możesz mi wierzyć, że najprawowierniejszy wyznawca jego zasad nie czyta go z większą pochopnością“.

I znów Koźmian staremu przyjacielowi delikatną ofiarowuje pomoc: Ulrich stale odmawia, „nie z głupiej dumy lub obrażonej miłości własnej“, jak pisze, „ale, że położenie nie jest tak rozpaczliwe. Bądź przekonany, że jeśli kiedykolwiek głód albo zimno do drzwi moich zakolacze, a scho-rzale ciało nie będzie już miało dosyć siły, aby je jak dawniej wstępnym odganiać bojem, będziesz pierwszym, do którego się zgłoszę. Ale najprzód mam kilka groszy złożonych u jednego z tutejszych kupców, który od długich lat był moim najgorętszym opiekunem, a prócz tego mogę jeszcze parę godzin dziennie bakałarzyć, co razem wzięte, robi mnie nielada kapitalistą i pozwala w paszporcie tytułować się *rentier*“.

Bakałarzyć w 70tym roku życia! niedziw, że sił nie staje, i duchowy hart się łamie. I znów w rok później ta-sama smutna pobrzmiwa skarga: „Jeśli *we mnie* niema dotykanej zmiany, *koło mnie* granice osamotnienia usuwają się coraz dalej, i wkrótce zostanę bodaj czy nie sam jeden na szerokiej pustyni, nie jak dąb spruchniały, ale jak zapomniany krzak cierniowy.“

Zbolały samotnością przyjaciela Koźmian, coraz bardziej o jego powrót do kraju nalega. W połowie 1882 roku Ulrich długim listem na serdeczne przyjaciela wezwania odpowiada. Skreśliwszy smutny stan swego zdrowia, a zwłaszcza wzroku, nie pozwalającego mu już wieczorem czytać, pisze dalej: „Pojmujesz, iż w takim stanie rzeczy trudno, abym nie raz i nie dwa razy nie pomyślał o końcu pielgrzymki na ojczyznej ziemi. Ale im dłużej o tem myślę, tem więcej niezwykniętych postrzegam trudności. Nie mówię już o nowych twarzach, bo łatwo się do nich przyzwyczaić, ale jak na stare lata przyuczyć się do nowych myśli i nowego kierunku ducha dzisiejszego pokolenia? Dodaj do tego, że jeśli nie chlebem tylko człowiek żyje, to jednak trzeba mu trochę chleba. Moje *kapitały* nie wystarczyłyby mi na niepodległe życie; trzeba by więc wziąć się do jakiej pracy. Ale do jakiej? Wrócić do bakałarki, nie pozwalają mi siły. Rzucić się, do pióra i bazgrać polityczne artykuły do jakiej gazety

niepodobna, bo zupełna nieznanomość stosunków robi mnie niezdolnym do politycznej szermierki, a równie wielka nieznanomość dzisiejszej polskiej literatury, nie pozwala mi mieszzać się do rozpraw czysto literackich. Cóż więc robić? musiałbym chyba stracić resztę rozumu, gdybym chciał myśleć o *rezydencyi*, bo nawet nie wiem, czy kwitnie jeszcze na polskiej ziemi stare rzemiosło rezydenta. Ale przypuśćmy na chwilę, żeby się znalazł jeszcze w jakim kącie ten czarny łabędź, toć pierwszą powinnością rezydenta jest bawić patrona. Bawić! mógłbym wprawdzie jeszcze grać z nim w warcaby lub maryasza, ale czy w Polsce gra jeszcze kto w maryasza, albo w warcaby? Przypomnij sobie na końcu stare polskie przysłowie: Gość i ryba trzeciego dnia śmierdzą. Musisz więc przyznać, że niezwykłe trudności zamykają mi drogę do ojczystej ziemi, i zmuszają do bolesnej rezolucyi pozostania, gdzie jestem, i do czekania tu w samotności na koniec zmarnowanego żywota.“

I tego ostatniego, jedyne go już przyjaciela przyszło Ulrichowi przeżyć. Nie stracił przeto węzła z krajem; pobożnie odziedziczona tradycya przyjaznej opieki, utrwaliła się w rodzinie Stanisława Koźmiana przez tych miesiące niewiele, które przegrodziły połączenie się starych przyjaciół w zagrobowym świecie. Słano mu z kolei i wyrazy pociechy, i uczynne ofiary pośrednictwa w niedoszłych wydawnictwach, i książki polskie. Zapytany, czyby się takowym ucieszył, odpowiedział z wdzięcznością: „Choć w moim wieku, jakto niegdyś Royer-Collard powiedział, *on ne lit plus, mais on relit*, zrobię wyjątek dla polskich książek i rzucę się do nich, jak zablany w pustyni wędrowiec do studni.“ Po otrzymanej przesyłce, natychmiast gorące kreśli podziękowania: „Mamże pisać, z jaką radością przeglądałem tom po tomie dzieła, z których każde w inny sposób mnie interesowało? Jedne budziły pamięć lat dawno minionych i przyjaciół, których już z tej strony grobu nie obaczę. Przeglądając ich pisma, może potrafię na chwilę zapomnieć o mojej dzisiejszej samotności, o mojem nędznie zmarnowanym życiu, i o starości pełnej cierpienia i smutku. Pisma Sienkiewicza budzą we mnie niemalą ciekawość, bo dwa tomy *Potopu*, ogłoszone dotąd w *Kurjerze*, dały mi nadzwyczaj wysokie wyobrażenie o ta-

lencie autora. Generalów Chłapowskiego i Morawskiego miałem sposobność poznać w czasie mego pobytu w Wielkopolsce, a X. Kalinka należy do moich dobrych znajomych w Krakowie. Mogęż mieć bankiet wspanialszy! Kończę list nateraz, bo o sobie więcej, jak trzeba, w ostatnim pisałem liście, a że to powieść nie bardzo interesująca, choć czasami przemykają się w niej sceny *Potopu*, ciąg dalszy do nieograniczonego czasu odłożę.“

Zaiste, nieograniczonego, bo w kilka miesięcy później i Leon Ulrich pospieszył za druhem serdecznym. Nie mamy szczegółów o jego zgonie, wiadomość żałobna zaledwie po tygodniach przedarła się do gazet polskich.

Czy krzyż pocieszył koniec ukrzyżowanego życia? nie wiemy. Tragiczność tych smutnych przeznaczeń jeszcze się uwydatnia tą daleką, nieznaną i zapewne samotną śmiercią. A tem boleśnieszyszy to widok, iż bodaj w nim się powtarza przeciętna losów wygnańczych. Po młodości chmurnej i górnej, po dniach warszawskiego koleżeństwa, po walce o niepodległość, i pięknem zaraniu emigracyi, bieda, zwątpienie, rozgoryczenie, samotność. Patrząc na początki i koniec niejednego życia ludzi, należących do najświetniejszej plejady emigracyjnej, mimowoli wciąż pobrzmiwa w sercu wiersz Zygmunta:

„My tak kochali! a pili truciznę;
 My tak żyć chcieli! a żyli w zamroczys!
 Inni, ach! będą oglądać Ojczyznę:
 Nim słońce wejdzie — rosa wyżre oczy.

Nie weszło słońce ani dla Koźmiana, ani dla Ulricha, ani dla ich towarzyszków młodości i nadziei. Rosa lez gorzkich i tęsknego oczekiwania wygryzła oczy zapatrzony w nie rozjaśniającą się nigdy przyszłość. A jednak śledząc smutne ich losów koleje, niepodobna się godzić bezwzględnie na skargę, powtarzającą się w listach Ulricha, „że przemarnował życie.“ Kto polskiej mowie przyswoił Szekspira, Arystofanesa i Plutarcha, zaiste, dobrze się zasłużył Ojczyźnie i potomności, a obowiązkiem strażników piśmiennictwa krajowego, aby tej spuściznie nie dać zaginać, lecz chroniąc ją od zagłady, jak najprędzej drukiem ogłosić.

Nie zbaczaliśmy z dostarczanego nam przez korespondencyą wątku smutnej opowieści, aby ocenić zalety Leona Ulricha jako tłumacza. Greckie jego przekłady dotąd nie są w ręku publiczności; angielskie na tem miejscu jak należy zostały roztrząsane przez autora studyów nad Szekspirem w Polsce. Niniejsze zagrobowe podzwonne nie kusi się o wydawanie literackiego sądu, lecz raczej o naszkicowanie według własnych zwierzeń zatartej sylwetki biednego wygnańca, który przez długie lata łamał się z twardą rzeczywistością, pracował niezłomnie, a wyrwany z ojczystych torów, chciał coś po sobie krajowi zostawić, i po mozolnych całodziennych lekcjach, wieczorami zdobywał dla mowy polskiej obce arcydzieła. Życie twarde i bezbarwne powoli gasiło w nim przyrodzone zapasy nadziei i wesołości. Bo ze świadectwa znajomych i przyjaciół wiadomo, że Leon Ulrich niegdyś posiadał niewyczerpany zasób dowcipu i swobody, wiele nawet iskier dawniejszych przechował do końca. Jak wielu ze spółziomków, mógł powtarzać: *Je suis gai par nature et triste par état*, większe od kogokolwiek mając prawa do tego określenia oddającego trafnie sprzeczność wesołego umysłu z smutnem i twardem życiem. Chcąc dopełnić obraz pojedynczej a tak ogólnie polskiej niedoli, wiadomością o losach całej rodziny, warto dodać, że brat Leona, Franciszek Ulrich, utracił rękę w wojnie 1831 r., został adwokatem w Lublinie. Umarł skutkiem nieszczęść z 1863 r., których ofiarą padli jego synowie i majątek. I tak zamknęły się roczniki domu, który ofiarę krwi i serea, oraz daninę pracy i umysłowego znoju za dni naszych złożył na ołtarzu Ojczyzny.

M.

F. 7535



INSTYTUT
 BADAŃ LITERACKICH PAN
 BIBLIOTEKA
 00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
<http://rcin.org.pl>
 Tel. 26-68-63

p
7535